

Latarnie

O dzieciństwie mówi się, że to okres bezgrzeszny, bo brak świadomości w rozróżnianiu dobrego i złego uwalnia od winy, uchybienia zrzuca się na karb dziecięcej bezmyślności, a dla uświadomienia naganności czynu udziela się reprimendy lub karze kłapsem. Szkoda tylko, że dzieciństwo kończy się tak szybko i wchodzi się w wiek końca niewinności. Co prawda jeszcze przez pewien okres występki tłumaczone bywają młodzieńczą głupotą, lecz formalna pełnoletniość pozbawia i tego enigmatycznego przywileju. Może z wyjątkiem spowiedzi dającej niemal pewne rozgrzeszenie w każdym wieku. Moją dziecinną wadą była ponoć zbytnia ruchliwość, co wymagało stałego nadzoru, bo każde spuszczenie mnie z oka związane było z ryzykiem szkód materialnych lub uszkodzeniem mojej własnej integralności. Zdarzało się więc, że dla uniknięcia zagrożeń przewiązywano mnie w pasie sznurkiem, którego długość wyznaczała granicę wolności. Pomogło mi to zrozumieć Leona, naszego łańcuchowego psa, którego wolność ograniczona była do okręgu o promieniu około czterech metrów. Z konfidencji i współczucia wchodziłem do psiej bu-

dy i przytulony do miękkiej sierści opowiadałem mu różne historie, których bohaterami byliśmy obaj. Zdarzyło się nawet, że w niej zasnąłem, a zaniepokojeni rodzice szukali mnie u sąsiadów i w pobliskich zaroślach. W psiej budzie chowałem się przed gniewem rodziców, ukrywałem przed kolegami, a później stała się miejscem, w którym najlepiej mi się czytało. Kiedy podrosłem i nie mogłem się w niej zmieścić, całkiem poważnie myślałem o jej powiększeniu. Najchętniej wziąłembym Leona do domu, ale na to nie było zgody. A kiedy po latach Leon odszedł do krainy wolnych psów, pożegnałem go jak najlepszego przyjaciela, a pusta buda stała się jego pomnikiem. Dziś będąc życiowo poobijany mam ochotę do niej wejść i wtulić w miękkie pachnące kudły, chociaż boję się, że już nie stać by mnie było na tamto wyciszenie.

Z wiekiem stałem się zrównoważonym i nie przysparzającym większych problemów młodzieńcem, którego uchybienia mieściły się w wiekowej normie. Jakieś drobne kłamstwa, nieposłuszeństwo, zatargi z rówieśnikami, dokuczanie koleżankom, a potem wagary i podglądanie dziewczyn. W sumie nic takiego, co wystawałoby ponad wiekowe przypadłości. Były jednak zdarzenia, które mimo znikomej szkodliwości nie chcą uznać przedawnienia

tkwiąc w nas w postaci wyrzutów sumienia i wstydliwego osadu.

Tak właśnie jest z moją pierwszą miłością i latarniami przy ulicy Krętej.

* * *

Mama śmiała się ze mnie, że od dziecka byłem kochliwy czemu zaprzeczyć nie mogę bo pewnego okresu życia nie pamięta się. Nie sędzę jednak abym jako dziecko zwracał uwagę na dziewczynki bo w tym wieku ma się do odkrycia dużo ważniejsze sprawy. Tym bardziej, że wtedy różnicę płci sprowadza do innego odzienia. Wiadomo, że dziewczynki chodzą w sukienkach, a chłopcy w spodniach, chociaż nie zawsze bo mający trzy starsze siostry Wiesiek czasem paradował w sukience. Zazwyczaj kiedy wracał do domu brudny jak nieboskie stworzenie i z braku zmiennego przyodziewku matka wkładała mu sukienkę którejś z sióstr. W młodszym wieku chodził w niej bez obiekcji, ale potem się wstydził. To wtedy zyskał przydomek Baba, który już nigdy nie wyszedł z obiegu. Wiedza o różnicach anatomicznych przyszła daleko później, ale jeśli nawet się o niej wiedziało, nie miało to większego znaczenia. Zazwyczaj dowiadywało się o niej niejako przy okazji bo nikt nas w

takie sprawy nie wtajemniczał bo temat różnicy płci i seksualności był tematem tabu. Pamiętam sytuację, kiedy Tereska, Danka, Andrzej i ja bawiliśmy się, a Andrzejowi zachciało się siusiać. Odszedł więc na bok, wyjął ptaszka i zaczął opróżniać pęcherz. Zainteresowało to Tereskę, która widząc proces chłopięcego siusiania, bardzo się zdziwiła:

- Czym ty sikasz? Co takiego ci urosło?

Była prawdziwie przejęta i pełna współczucia. Wysiusiawszy się Andrzej nie podciągnął rajtuzów pozwalając Teresce na dokładniejsze oględziny:

- Głupia! To nie wiesz, że chłopaki mają siusiaki i sikają na stojąco, a dziewczyny nie mają i muszą kucać? Siostra mi mówiła.

Ponieważ byliśmy ciekawi jak to jest u dziewczynek, Tereska ściągnęła majteczki i pokazała cipkę, a na dowód, że tak mają wszystkie dziewczynki, to samo uczyniła Grażynka. Operacja poznawania anatomicznych różnic była czymś tak naturalnym jak wspólne zabawy. Inaczej widzieli to dorośli, bo jeszcze tego samego wieczora przybiegła do nas matka Tereski uprzedzając, że nie pozwoli córce bawić się ze mną i Andrzejem, bo pokazujemy im siusiaki:

- Takie gówniarstwo, a już takie bezwstydne! Od kogo to się nauczyło?

I popatrzyła na mamę tak, jakby chciała oskarżyć ją o deprawację. Mama próbowała ją uspokoić przekonując, że to tylko niewinne dziecięce odkrywanie różnic i robienie z tego problemu jest przesadą, na co sąsiadka, że ona tę zabawę wybije Teresce z głowy pasem, a ja i Andrzej mamy nie bawić się z jej córką, bo jak nas razem zobaczy, dostaniemy takie baty, że tydzień nie usiadzimy na tyłku. Efekt był taki, że odtąd dziewczynki i my z Andrzejem bawiliśmy się osobno. Ubocznym skutkiem tego zdarzenia było uświadomienie sobie, że dziewczynki i chłopcy to dwa inne światy, których przekroczenie jest naganne i grozi przykrymi konsekwencjami. Patrząc z czasowej perspektywy mam do sąsiadki pretensję, że swym bezmyślnym zachowaniem podzieliła świat na męski i damski; świat idących ze sobą, ale tak naprawdę obok siebie. Podwójny świat utrwalony nauką religii z której o grzechu nieczystości dowiedziałem się zanim jeszcze byłem w stanie go zrozumieć. Kiedy zapytałem o to mamę, powiedziała, że to dla dzieci to problem zbyt skomplikowany i wyjaśni mi to jak będę duży. Ale ja upierałem się, że skoro siostra Pelagia o grzechu nieczystości mówiła na lekcji religii, to chyba nie jestem za mały. Mama na

to, że dla niektórych wszystko jest zbyt proste i dlatego bywają bardziej boscy od stwórcy świata. I życzyła mi abym nauczył się patrzeć na świat z perspektywy ziemi i nie zastępował Boga bo ci, którzy dowolnie interpretują jego słowa, grzechem nazywają to co ludzkie, komplikują proste sprawy zmuszając innych do nonsensownych wyrzutów sumienia i hipokryzji. Tak mówiła moja mądra rodzicielka, która co niedziela chodziła do kościoła, ale Boga pojmowała jakby trochę inaczej. Być może efektem tej nauki było, że z czasem zważyłem w boską omnipotencję. Mimo świadomej apostazji prostowanie dróg wedle ziemskich kryteriów trwało długo, a i tak co rusz spotykam, tkwiące w podświadomości zakręty.

Jeśli jednak matczyne uwagi dotyczące mojego zainteresowania płcią przeciwną dotyczą okresu późniejszego, z pewnością jest w nich sporo prawdy, bo z wiekiem w moim świecie kobiet było coraz więcej. Na początku był podziw, ale przede wszystkim respekt. Może dlatego, że podział na to co męskie i damskie sprawił, że nasze światy oddaliły się tak dalece, że niemal straciliśmy ze sobą kontakt. Żyliśmy ze sobą, ale tak naprawdę obok siebie. My bawiliśmy się w wojnę, policjantów i złodziei, wydzierając kurom pierze robiliśmy pióropusze, budowaliśmy szałas i

wspinaliśmy się na drzewa, a one bawiły się lalkami, grały w klasy lub nawzajem czesały sobie włosy. My głośni, poobijani, podrapani i umorusani, one ciche, czyste, schludnie ubrane i delikatne. My polujący na motyle i żaby, budujący zapory na strumieniu i siekający kijami pokrzywy, one spokojne, dyskretne i wszystkiemu przyjazne. Może z wyjątkiem nas, którzy z mocą huraganu wpadaliśmy w ich świat wywracając go do góry nogami, wzniecając niepokój i prowokując kłótnie. Z grona dziewczynek wyłamywała się jedynie śniada, czarnowłosa Janka, która stroniła od rówieśniczek i bliżej jej było do chłopców. Co prawda przystawała z koleżankami, ale nad zabawę lalkami i wicie wianków, przedkładała chłopięce szaleństwa. Na początku nie tolerowaliśmy jej obecności uznając, że babie z nami nie po drodze, ale kiedy okazało się, że biega szybciej niż wielu z nas, umie wspinać się na drzewa, strzelać z łuku, nie boi się psów i ciemności, a w dodatku kładzie nas na łopatki, stała się pełnoprawnym członkiem naszej paczki. I była nim dopóty, dopóki nie zakochała się i znowu nie poczuła zewu natury. Z dnia na dzień złagodniała, rozpuściła włosy i zaczęła ubierać się jak dziewczyna. Ponieważ dotąd zawsze chodziła w spodniach i luźnej koszuli, dopiero kiedy włożyła sukienkę zauważyłem, że ma długie, zgrabne nogi i wyraźnie zarysowane piersi. I wtedy

pojawiło się onieśmienie i przestałem traktować ją jak kumpla. Jej metamorfoza uświadomiła mi, że zmieniłem się i ja. Choć wciąż trzymałem się towarzystwa, od jakiegoś czasu infantylne wydały mi się zabawy, wzajemne figle i sekretne popalanie papierosów. Nudziły szczeniackie rozmowy, śmieszne udawanie dorosłości i coraz częściej czułem, że odstaję. Pretekstem do odejścia było jakieś drobne nieporozumienie z Kaziem, który samowolnie ogłosił się hersztem.

Zapewne to efekt dojrzewania, ale z czasem moje zainteresowanie dziewczętami zdominowało wszystkie inne wymiary. Przede wszystkim liczyły się zalety estetyczne, chociaż w dalekim tle majaczyły już obrazy bardziej śmiałe. Nagle jakby po obmyciu oczu skonstatowałem jak szybko znane od dziecka dziewczęta stawały się kobietami. Jeszcze wczoraj ciche, skromne i nie zwracające na siebie uwagi, a dziś wchodzące w oczy obłóściami, wcięciami i wycięciami, pachnące jakimś nieokreślonym, ale zawracającym w głowie aromatem. Inaczej mówiły, chodziły, czesały się i inaczej patrzyły. Przede wszystkim na rówieśników, którzy w stosunku do nich jakby zatrzymali się w rozwoju fizycznym, a jeszcze bardziej intelektualnym. Kiedy my zaledwie zaczynaliśmy męskie pączkowanie, one już rozkwitały roztaczając peł-

nię urody. Najbardziej cieleśnie wybujała była moja sąsiadka Tereska, ta sama dzięki której wcześniej poznałem różnice anatomiczne dziewczynek i chłopców. Teraz stała się atrakcyjną kobietą z ładniutką twarzą, kręconymi lokami, krągłymi biodrami i apetycznym biustem. Patrząc na nią żałowałem, że teraz nie zechce edukować mnie widokiem swoich anatomicznych detali. Tyle tylko, że ona teraz wydorosłała i spoważniała, a na mnie patrzyła lekceważąco i nazywała gówniarzem. To już nie była ta Tereska, z którą dzieliłem się dropsami, a ona przynosiła mi, suto posypane cukrem pudrem, racuchy. Ja dopiero co odłożyłem procę, a ona nosiła biustonosz i kryjąc się przed matką, czerniła brwi i malowała usta. Dosłownie z dnia na dzień, dzielący nas rok wielokrotnie się wydłużył, zmieniło się nasze rozumienie świata, rozmowy stały się jałowe, a z czasem pojawiło się kłopotliwe onieśmienie. Trudno więc dziwić się, że ciągnęło ją do chłopaków starszych, którzy umieli docenić wartość jej wdzięków i bardziej wyraziście to okazać. Najczęściej bezceremonialnie, obcesowo i dosadnie, ale Teresce musiało to sprawiać przyjemność, skoro nie tylko nie unikała ich towarzystwa, ale raczej go szukała. I chociaż dawała po łapach obmacującym ją, był to raczej gniew udawany i wpisujący się w rytuał flirtu. Wyprzedzając chronologię powiedzmy, że nie wyszła na

tym dobrze, bo w osiemnastym roku życia urodziła syna, którego ojcem okazał się Tadek, miejscowy menel pozostający na utrzymaniu ojca sadownika, którego finansowe obowiązki powiększyły się o konieczność płacenia alimentów. Tym bardziej, że po spłodzeniu potomka Tadzio odmówił ożenku, a rychło zmył się tak skutecznie, że nie mogła go znaleźć policja ani prokurator. Okoliczność ta zmusiła Tereskę do przerywania nauki i zajęcia się dziecieniem. Widocznie jednak posiadanie potomstwa nie rozwinęło w niej uczuć macierzyńskich, bo pozostawiając syna opiece rodziców, wolała udzielać się towarzysko. Musiała iść chłopom do głowy, skoro o mało co nie rozbiła dwóch małżeństw, a kilku młokosów się o nią poszczerbiło. Po roku zostawiła małego dziadkom, a sama wybyła do stolicy, skąd po dwóch latach wróciła z mężem, który po kilku miesiącach ulotnił się pozostawiając ją przy nadziei. Tym razem urodziła córkę tak do niej podobną, że aż trudno uwierzyć. Stara Kubicka nie widziała w tym nic dobrego:

- Gadają, że „jaka mać, taka nać”. Nie daj Boże jak się wda w Tereskę!

Z czasem atrakcyjność Tereski przygasła i chociaż bardzo się starała, amatora nie znalazła. Przez jakiś czas sprzedawała w sklepie

z alkoholem, ale zwolnili ją z powodu słabości do zawartości butelek. Skończyła jako sprzątaczką w urzędzie, gdzie zatrudnili ją niejako z litości bo nie miała za co żyć. Ale nie nażyła się długo, bo kilka lat przed emeryturą umarła na raka. A córka, jakby zadając kłam ludowej mądrości z niczym się w nią nie wdała. Spokojna, rozsądna i skromna, ukończyła studia, wyszła za męża i urodziła dwoje dzieci. Matkę często odwiedzała, pomagała finansowo, a po jej śmierci wybudowała grobowiec. Życie ułożył sobie także jej przyrodni brat, który po ukończeniu zawodówki wyjechał na Wybrzeże, gdzie osiadł na stałe i założył rodzinę.

Pierwszą głębszą skłonność poczułem do miłej, ładniutkiej Jadzi, która wyróżniała się tym, że bodaj jedyna z gromady dziewczynek nosiła krótko obcięte włosy. Wszystkie inne miały dłuższe lub krótsze warkocze, a jedynie Jadzia włosy do ramion. A ponieważ ładnie recytowała i śpiewała, w uznaniu talentu nazywaliśmy ją Bardotką. To był niejako związek artystyczny, bo oboje byliśmy etatowymi aktorami na szkolnych akademiach, teatrzykach i kabaretach. Czasem nawet śpiewając w duecie i trzymając się za ręce. Podczas jednego z przedstawień ona grała rolę księżniczki, a ja starającego się o jej rękę księcia. Moim rywalem był królewicz z sąsiedniego

królestwa, z którym zmagalem się w pojedynku na drewniane miecze. Pojedynek był tym zacieklejszy, że w królewicza wcielał się Heniek, który też kochał się w Jadzi i wiedział o moim do niej afekcie. Pojedynek nie był więc bynajmniej udawany, a ponieważ Henio był wyższy i silniejszy nie wiadomo kto byłby górą, gdyby ze scenariusza nie wynikało, że zwycięzcą mam być ja. I chociaż głównym trofeum była korona, dla mnie miłsza była róża z rąk Jadzi. Uczucie nie wyszło jednak poza ukradkowe spojrzenia i kilka tajemnych dotknięć. Był nawet pocałunek, ale jako wynikający z teatralnej roli, chyba się nie liczy. Poza sceną liczyłem się zdecydowanie mniej, bo jej przychylność zdobył Tomek, który jako matematyczny prymus pomagał jej w rozwiązywaniu równań z jedną, a potem dwoma niewiadomymi. Ze zranionym sercem patrzyłem jak podczas przerw tłumaczy jej matematyczne zawłościci, a po lekcjach odprowadza do domu. Na szczęście szybko mi przeszło, w czym zasługa kokietki Małgosi, którą pamiętam przede wszystkim z powodu niebieskich oczu. Tak dużych, że kiedy na mnie patrzyła wydawało mi się, że cały świat stawał się niebieski. Wiedziałem, że się we mnie podkochuje, bo w tajemnicy powiedziała mi to Kasia, jej najbliższa przyjaciółka i powiernica. Pisała też do mnie tkliwe, anonimowe liściki, a na mojej ławce wyryła cyrklem serce

przebite strzałą. Musiało jej na mnie zależeć bo kiedy powiedziałem, że nie do twarzy jej z różowymi wstążkami przy warkoczach, od tej pory nosiła tylko niebieskie i czerwone. Podczas przerw siadywaliśmy na dwóch stojących naprzeciw siebie ławkach i spojrzeniami przekazywaliśmy sobie uczucia. Apogeum była szkolna choinka, podczas której trzy razy zaprosiłem ją do tańca, a przy kolacji siedzieliśmy obok siebie. Ale potem jakoś nam przeszło.

Po niej zakochałem się w Cygance.

Na skraju miasteczka, między plantacjami chmielu rozpościerała się rozległa łąka, na której co roku zbieraliśmy pieczarki. Latem obozowało tu kilka cygańskich taborów. Zazwyczaj kilkanaście fantazyjnie malowanych wozów. Ustawiano je w okręgu, a w środku płonęło ognisko stanowiące jakby centrum osiedla na kołach. Miejscowi nie lubili Cyganów, a szczególnie Cyganek bo te chodząc po miasteczku zebrały, kradły drób i ściągały ze sznurów suszące się pranie. Ale mnie podobał się cygański koloryt, muzykalność, swoboda, a nawet arogancja z jaką traktowali osiadłych na stałe. Wieczorami siadałem więc na brzegu chmielowej plantacji obserwując jak nad ogniskiem gotują strawę, posilają się, a potem na harmonii i gitarach grają i śpiewają.

Nie znałem ich języka, ale słuchając nostalgicznych pieśni, widząc wirujące spódnice i rozwiane, połyskujące w świetle ogniska włosy, odzywała się we mnie jakaś tęsknota za nieznanym. Tęsknota tym bardziej niezrozumiała, że jako dziecko nie czułem braku przestrzeni, a tym bardziej nie mogłem mieć życiowego manka. Kiedy tak dziś o tym myślę, dochodzę do wniosku, że tamte emocje były przecuciem przyszłości. Podziwiałem też mądrość cygańskich koni, które wypuszczone wieczorem, przez całą noc chodziły po polach, a raniem karnie wracały do taboru. Obrazy te przypominają mi się podczas oglądania magicznego filmu Emila Loteanu *Tabor wędruje do nieba*. Ale najbardziej utkwił mi w pamięci pewien kameralny, cichy, wręcz intymny obrazek z jednym wozem i cygańską rodziną. Lato miało się już ku zachodowi, kiedy na łące przycupnął cygański wóz. Podróżował nim młody Cygan z żoną i może sześćioletnią córeczką. Wieczorem rozpalili ognisko, zjedli posiłek, a potem Cygan grał na gitarze, Cyganka śpiewała, a Cyganeczka tańczyła. To był najpiękniejszy taniec jaki widziałem w życiu. Do dziś widzę płynne, plastyczne ruchy rąk, wirujące biodra i piersi, wtedy jeszcze niewidoczne, ale przecież już podatne na rytm i tańczące. Pamiętam blask płomieni w jej dużych, nad wiek poważnych oczach, oświetloną księżycem twarz, długie,

połyskujące w ogniskowym blasku włosy i iskierecki cekinów na sukience. Miałem wtedy trzynaście lat, ale nawet po półwieczu ten wspomnieniowy obraz pozostaje synonimem jakiejś niedefiniowalnej nostalgii, obrazem maleńkiego ogniska na tle ciemnej, bezksiężycowej nocy. I wciąż tęsknię, chociaż dziś ta nostalgia ma bardziej konkretną treść. Nie wiem czy to co czułem można nazwać zakochaniem, ale chyba żadnej ze swoich przyszłych miłości nie traktowałem tak tkliwie. Chciałem ją zobaczyć w świetle dnia, ale rano już ich nie było. Czasem zastanawiam się co by było gdybym ją później spotkał. Wyobrażam ją sobie jako smukłą, smagłolicą dziewczynę z wielkimi, czarnymi oczami, włosami jak kreślarski tusz, z jakby autonomicznie żywymi piersiami; w długiej kolorowej, błyszczącej od cekinów, wirującej spódnicy. Marzę aby dotknęły mnie jej lekkie, zmysłowe dłonie. Odnoszę wrażenie, że wciąż szukam jej wśród Cyganek, coraz mniej odróżniających się od innych kobiet.

Wspomnienie jest tak sugestywne, że chociaż dziś nie ma już plantacji chmielu, łękę przecina ulica z posadowionymi wzdłuż niej willami i w przeszłość odjechały cygańskie tabory, pamięć bez problemu wywołuje tamten magiczny obraz.

Zdarzyło się jednak, że pewnego dnia pojawiła się ta, dzięki której dowiedziałem się co to jest miłość. Jeszcze nie fizyczna, namiętna i pościelna, ale bezgrzeszna, rozpychająca serce i jak najlepsza soczewka skupiająca świat w jednej osobie. Przyszedł czas dolegliwej tęsknoty za ukradkowym spojrzeniem, dotknięciem dłoni i pragnieniem choćby jednego ciepłego słowa. To był amok, którego nie przeżyłem nigdy później, chociaż wiele razy wydawało mi się, że jestem głęboko zakochany. To było coś, jak wzór metra z Sevres, przy którym każde inne, nawet najbardziej namiętne uczucie obarczone było szerokim marginesem błędu. To była miłość jakby poza czasem, bo przyszłość była abstrakcją, a liczyło się wyłącznie dziś i jutro, kiedy znowu będę ją mógł zobaczyć, pogłaskać wzrokiem i dojrzeć w jej oczach coś, co mnie rozgrzeje i da nadzieję.

Tak naprawdę nie wiem jak to się stało bo o rok młodszą Mirkę znałem od dziecka i niezbyt lubiłem. O byle co obrażała się i skarżyła rodzicom, a ci za karę wykręcali nam uszy lub boleśnie szczypali w policzki. Unikaliśmy jej, a kiedy nie chcieliśmy się z nią bawić, znowu biegła ze skargą. Tym razem na starszą siostrę, która nie chcąc się nią opiekować, wybierała nasze towarzystwo. Moja przyszła miłość była wtedy dość korpulentną,

nijką dziewczynką, którą od święta matka ubierała w falbanki, bufiaste rękawki i białe podkolanówki. Kiedy my z rówieśnikami gromadnie wracaliśmy z kościoła, ją rodzicielka zawsze trzymała za rękę jakby bojąc się, że się zgubi. Ta nadopiekuńczość sprawiła, że nie mając koleżanek sama bawiła się lalkami na szczelnie ogrodzonym podwórku. Mieszkała przy Krętej, którą nie wiadomo czemu tak nazwano bo była bardziej prosta od wielu innych ulic. A że mieszkał tu także jeden z miejskich notabli, wyróżniała się gładkością asfaltu i liczbą latarni. Ponieważ rodzicielka Miry była krawcową, bywałem u nich z mamą, która często miewała do niej jakiś interes. Kiedyś nawet Mirka pokazała mi język, a ja odpowiadając postukałem się w czoło. Za to w szkole była pupilką i nauczyciele stawiali nam ją za wzór. Zresztą z odwrotnym efektem, bo uznając ją za lizuskę i kujona, jeszcze bardziej od niej stroniliśmy. Tym bardziej, że uchodziła za wybitnie zdolną, a na świadectwie od góry do dołu miała same piątki. Tak było do piątej klasy, a potem coś się w niej przestawiło i znormalniała. Przestała zadzierać nosa, a odkleiwszy się od matki zrobiła się bardziej towarzyską. Ale prawdziwą rewolucją była decyzja o odejściu z kościelnego chóru, w którym uchodziła za obiecującą śpiewaczkę. Zrozpaczona matka prosiła proboszcza aby jakoś na nią wpłynął, ale

Mira postawiła na swoim. Tłumaczyła, że zmienił się jej głos i nie może śpiewać wysokich tonów, ale ludzie szeptali, że to przez organistę, który się do niej dobieirał. I pewnie było w tym coś z prawdy, bo wcześniej z chóru odeszły dwie starsze dziewczyny, a ojciec jednej z nich dał organiście po gębie. Podobno z tego powodu odeszła go żona, a proboszcz rozgląda się za nowym organistą. Ta mentalna zmiana zbiegła się z zaskakującą cielesną metamorfozą, która z korpulentnej, pyzatej i nijakiej dziewczynki uczyniła atrakcyjną kobietę. Wyrosła, wyszczuplała, twarz jej wysubtelniała i wygładziła się, a oczy powiększyły i nabrały blasku. Ścięła warkocze, a w nowej, krótszej fryzurze wyglądała jak modelka ze zdjęcia w „Filipince”. Męskiej uwadze nie uszło też powiększenie i zaokrąglenie piersi oraz łagodne, zmysłowe kołysanie bioder. I chociaż podobna metamorfoza dotknęła większość koleżanek, w zgodnej opinii kolegów, u Mirki była najkorzystniejsza. Ten jej nowy image podziałał na mnie tak deprymująco, że chociaż uchodziłem za wygadanego i bystrego, w jej obecności traciłem rezon i zapominałem języka w gębie. Nagłe uczucie przemeblowało mnie tak dogłębnie, że zmieniło percepcję świata, który zastąpiony jej osobą odpłynął w tło. Jednym z objawów emocjonalnego odlotu była dolegliwa tęsknota i potrzeba bycia w jej pobliżu.

Codziennie widywałem ją w szkole, ale tego było mi za mało. Jeździłem więc rowerem obok jej domu, pod byle pretekstem odwiedzałem koleżanki licząc, że ją u nich zastanę. Ponieważ mieszkała obok boiska, uaktywniłem się sportowo spędzając na nim całe godziny, a po zmroku znowu szedłem pod jej dom aby zobaczyć ją w oświetlonym oknie. Przestałem interesować się miejskimi nowinkami, mimo uszu puszczałem koleżeńskie problemy, zaniedbywałem czytanie książek, chociaż akurat o to nigdy bym się nie podejrzewał. Żyłem w jakimś szczelnym kokonie bez rejestracji tego co się obok mnie działo. Samotnie snułem się wśród pól za miejskimi rogatkami, zajeżdżałem adapter namiętnie słuchając sentymentalnych piosenek, zacząłem nawet pisać wiersze. Poważnie zastanawiałem się do której zaprosić ją kawiarni, co było o tyle nonsensowne, że w naszym miasteczku była tylko jedna, bo drugi lokal zdominowany był przez piwoszy. Analizując każde słowo układałem kolejne teksty miłosnego wyznania i starałem się przewidzieć jej odpowiedź.

To był okres trudny, ale piękny. Po raz pierwszy doznawałem uczucia ekstatycznej pełni, rozumiałem kolory, kształty i wszystko to, co jeszcze wczoraj wydawało się normalne i niegodne uwagi. Polubiłem zachody

słońca i intymność zmierzchu, czułem lekkość motyla i zręczność jaszczurki. Wyostrzył mi się węch, słuch, uwierzyłem w istnienie telepatii. Nic nie było moim wrogiem, a ja stałem się przyjacielem wszystkiego i wszystkich. Zupełnie jakby w ciemnym pomieszczeniu ktoś zapalił światło odkrywając urodę tego, co wcześniej było niewidoczne. Uczucie to wydobywało mnie z psychicznych dołów i niwelowało inne niepowodzenia. Wystarczyło, że ją widziałem, a wszystko stawało się piękne i uporządkowane. Pamiętam, jak podziwiałem ją grającą w siatkówkę, wręcz fruującą do piłki. Inne dziewczyny skacząc mocno odbijały się od ziemi, a ona robiła to bez wysiłku i jakby z przyjemnością. Jak ważka z animowanego filmu. Teraz raczej porównałbym ją do tancerki w balecie „Jezioro Łabędzie”, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że zainteresuję się baletem. Podziwiałem jej wyczucie, szybkość i refleks. Zresztą podobało mi się w niej wszystko, a ona chyba o tym wiedziała, bo co jakiś czas patrzyła w moim kierunku, a nawet mi pomachała.

Przez jakiś czas byłem sceptyczny co do moich szans bo porównując się z kolegami dochodziłem do wniosku, że nie należę do estetycznej awangardy. Jeśli nawet stosowałem wobec siebie taryfę ulgową, musiałem przyznać, że pod względem atrakcyjności

ustępuję wysokiemu blondynowi Józkowi, nie mówiąc już o Cześku z jego twarzą filmowego amanta i gęstymi, kręconymi włosami. Obaj dzielili między siebie dziewczęcy podziw, wywołując zazdrość chłopaków mniej wyróżnionych przez naturę. I chociaż nie zauważyłem, aby któryś robił na Mirce wrażenie, nie mogłem wykluczyć, że mogła się z tym ukrywać. Choćby z zazdrości bo Józkowi podobała się blondynka Ala, a Czesiek niemal otwarcie chodził z wyróżniającą się wielkością biustu Kaśką. Ja co prawda też podobałem się, ale bardziej matkom koleżanek, niż im samym.

Pierwszym objawem sympatii z jej strony była pocztówka przysłana z obozu harcerskiego. Co prawda były to jedynie standardowe pozdrowienia, ale gest ten oznaczał, że nie jestem jej obojętny. Przecież na tym obozie jest tylu chłopców, że ma w kim wybierać, a jednak o mnie pamiętała. Przez kilka dni nosiłem ją przy sobie, a potem w obawie przed zniszczeniem włożyłem do mojej ulubionej książki. Żałowałem, że nigdzie nie wyjeżdżam, bo mógłbym się zrewanżować. Po powrocie, podczas grupowego spotkania Mira zdała relację z pobytu na obozie, a przy okazji okazało się, że pocztówki dostało kilka koleżanek. Dla mnie najważniejsze było jednak, że z chłopców dostałem tylko ja. Teraz nie miałem już wątpliwości, że jej na mnie zależy

i podziało to na mnie tak mocno, że nie mogłem zasnąć. Zastanawiałem się co zrobić aby zostać z nią sam na sam aby powiedzieć, że ją bardzo, bardzo lubię. Najchętniej powiedziałbym, że ją kocham ale nie miałem odwagi. Określenie bardzo lubię wydawało mi się mniej patetyczne, nie przekraczało emocjonalnej granicy i pozostawiało margines na jutro. Następnego dnia była niedziela i mieliśmy odwiedzić chorego wuja, ale udając ból głowy pozostałem w domu. Wiedziałem, że około piątej po południu Mira z koleżankami idą na lody, a potem siadają na ławkach na skwerze przy fontannie i gadają do wieczora. Ponieważ głupio mi było iść samemu, w towarzystwie dwóch kolegów usiedliśmy na sąsiedniej ławce. A że Tadek miał aparat fotograficzny, a dziewczyny prosiły aby zrobił im zdjęcia, fakt ten stał się pretekstem do połączenia towarzystwa. Dla mnie było to wydarzenie szczególne, bo zaowocowało jedyną wspólną fotografią. Siedzimy na ławce, ona z twarzą zwróconą w moim kierunku, a ja wpatrzonej w nią jak w obraz. Mimo upływu czasu i fotograficznej patyny, oglądając ją wciąż czuję tamten dreszcz. Pamiętam nawet kształt gałązek przesiewających słoneczny blask.

Zbliżyła nas telewizja, a właściwie ówczesny techniczno-ekonomiczny niedostatek.

Dziś kiedy telewizor stał się głównym lokatorem niemal każdego domu, trudno uwierzyć, że kiedyś był luksusem, którym mierzyło się finansową zasobność. Dość powiedzieć, że w naszym, niespełna pięciotysięcznym mieście było ich zaledwie kilkanaście. Wtedy szczęściem było posiadanie, wyposażonych w to drogocenne urządzenie, gościnnych znajomych, dzięki którym można się było zbliżyć do wielkiego świata. W naszym przypadku była to Basia, której rodzice tolerowali przekształcanie salonu w salę kinową. Szczególnie tłoczno było w dniach projekcji teatrów kryminalnych i programów rozrywkowych, ale rzadko zdarzały się wieczory bez amatorów telewizji. Wcześniej nie nadużywałem ich gościnności, ale kiedy dowiedziałem się, że Mirka bywa częstym widzem, zacząłem wpraszać się przynajmniej dwa razy w tygodniu. Siedząc obok niej, niby przypadkiem dotykając jej dłoni, czując miękkość i zapach włosów, widząc zarys ud pod sukienką i obłóć piersi, z przejęcia kręciło mi się w głowie i z pewnością więcej uwagi poświęcałem jej, niż temu co działo się na ekranie. Marzyłem aby wziąć w dłonie jej twarz i z bliska delektować się blaskiem oczu i kształtem ust, odgarnąć włosy aby widzieć jej uszy i długą, gładką szyję. I chociaż dojrzewanie ujawniło też bardziej męskie pragnienia, w takich momentach stawały się jedynie dalekim tłem. A potem od-

prowadzałem ją do domu. Dzięki gęstym ulicznym latarniom nawet na moment nie traciłem jej z oczu, rejestrowałem każde ukradkowe spojrzenie i rosła we mnie niecierpliwość zmysłów. Czułem, że oboje pragniemy tego samego, ale żadne z nas nie miało odwagi aby to ujawnić. A potem było krótkie cześć. Bez podania ręki, chociaż pragnieniem było abym mógł ją jak najdłużej zatrzymać w swojej.

Ale wreszcie nadszedł wieczór, który nas odczarował. A wszystko dzięki jednej piosence, która stała się nie tylko emocjonalnym katalizatorem, ale także fonicznym symbolem tego odległego, niezapomnianego uczucia. Pamiętam, że do późnego wieczora oglądaliśmy transmisję festiwalu piosenki w Opolu podczas którego Katarzyna Sobczyk śpiewała piosenkę „Mały książę”. I właśnie ta piosenka tak bardzo nas zbliżyła, że ledwie wyszliśmy na ulicę Mira podała mi dłoń i szliśmy tak trzymając się za ręce, milczeniem przekazując sobie coś, co było pojemniejsze niż słowa. Kiedy doszliśmy pod jej dom, otworzyła furtkę, weszła, ale odwróciła się pocałowała mnie i pobiegła do domu. A potem stała w oświetlonym oknie jakby chcąc abym był z nią dłużej. A ja stałem dopóty, dopóki nie zgasło światło. Do domu wróciłem około północy tłumacząc się przedłużoną transmisją. Obu-

dziłem się z letnim brzaskiem i nie mogąc doczekać się kiedy znowu będę mógł ją zobaczyć, idąc do piekarni specjalnie nadłożyłem drogi, aby przejść obok jej domu.

Od tej pory byliśmy parą. Oczywiście nie był to status oficjalny, bo w tamtych czasach o żadnej ostentacji nie mogło być mowy. Nawet o trzymaniu się za ręce, a tym bardziej obejmowaniu za szyję, obmacywaniu i publicznym całowaniu. Wtedy w cenie były bardziej subtelne środki wyrazu stanu ducha – wymowne spojrzenie, krótki dotyk i słowa pozornie wieloznaczne, ale czytelne dla znających serdeczny szyfr zakochanych. Patrząc na dzisiejszą uczuciową otwartość młodych, czasem im zazdroszczę, ale po namyśle dochodzę do wniosku, że tamta cicha, pozbawiona ostentacji i możliwości szybkiego spełnienia duchowa miłość była bardziej skondensowana, dłużej i głębiej przeżywana. Była gorącym pragnieniem, wyostrającą wrażliwość wyobraźnią, odsuwała na plan dalszy cielesność z jej namiętną tajemnicą, która z czasem spowszednieje i dla wielu stanie się tematem trywialnych dowcipów. Pierwsza miłość to żywioł, psychologiczne akwarium, stan dziwnej hibernacji którym świat jest osobą, a czas staje się hipotezą.

Koleżeństwo domyśliło się naszej emocjonalnej konfidencji, której na dłużej ukryć się nie dało. Część przyjęła to życzliwie, niektórzy udawali, że nie widzą, a część sobie z nas pokpiwała. Najbardziej zaskoczyła mnie mama, która dowiedziawszy się o moim uczuciu bynajmniej nie była zdziwiona:

- Zakochałeś się? To dobrze, bo przychodzi czas, kiedy trzeba się zakochać. Cieszę się, że z wzajemnością i mam nadzieję, że nie będziecie udawać zbyt dorosłych.

To był chyba najpiękniejszy okres życia bo świadomość kochania i bycia kochanym to bodaj najpojemniejsze uczucie. Szczególnie jeśli przeżywa się go po raz pierwszy i nie wie się, że będą następne. Spotykaliśmy się, chodziliśmy na spacer, rozmawialiśmy o muzyce młodzieżowej, książkach i filmach. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się i dotykali odkrywając siłę pierwszych namiętności. A nocą pojawiały się akty pędzla najlepszych malarzy, a każdy z twarzą Miry.

Pamiętam kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją nagą. To było w letnie, niedzielne popołudnie nad małym, leśnym jeziorkiem nad które przyszliśmy się opalać. Kiedy podczas zdejmowania odzieży Mirze zepsuł się zamek od biustonosza, zdecydowała opalać się toples, a potem niespodziewanie zdjęła także majtecz-

ki. To było jak nagłe oślepienie słońcem, jak odkrycie Ameryki, jak pierwsza komunია. To wtedy poznałem walory dojrzewającej kobiecości - gładkość i miękkość piersi, krągłość bioder i magnetyczną subtelność krocza. Stała przede mną, a ja nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że oto materializuje się moje nieśmiałe marzenie o widoku kobiecej nagości. W tamtym przaśnym i purytańskim okresie akty oglądać można było jedynie w albumach malarskich i rzadkiej fotografii artystycznej. Kiedy w jednym z tygodników zaczęto publikację niewinnej, damskiej golizny, gazeta stała się takim rarytasem, że aby ją kupić trzeba było przyjść przed otwarciem kiosku.

Do dziś pamiętam biel skóry, rozsypane na ramionach włosy, nieśmiały zarost łona i harmonijność sylwetki. To był cud, przy którym zamiana wody w wino, chodzenie po wodzie i wskreszenie Łazarza wydawały się być trikiem prestidigitatora. Ta jedna chwila przesunęła granice wieku i estetycznej wrażliwości, nauczyła pa-trzeć na kobietę jak na cud natury. Miałem wrażenie, że dopiero nagość Miry obudziła we mnie mężczyznę. Ale nie w wymiarze erotycznym, bo w tamtym zauroczeniu nie było ani odrobiny dziegciu zmysłów. Ten widok tak bardzo mnie ośmielił, że rozbierając się nie czułem zażenowania. Na-

sza nagość wydała mi się tak naturalna jak nagość Adama i Ewy na obrazach w albumie, który oglądałem w domu studiującego sztukę Leszka. Kiedy zdjęłem spodenki, Mira obejrzała mnie z ciekawością, ale bez większego skrępowania:

- Pierwszy raz widzę nagiego chłopaka. Przedtem tylko na zdjęciach u Anki bo jej brat ma gazetki z nagusami. Bardzo zgorszyłeś się kiedy się rozebrałam? Zrobiłam to bo cię kocham i nie mam przed tobą tajemnic. A ty widziałeś już nagą dziewczynę?

Odpowiedziałem, że czekałem na nią, bo ona jest najpiękniejsza i nigdy jej nie zapomnę:

- Zapomnisz. Wszyscy mężczyźni tak mówią, a potem zapominają. Kobiety pamiętają dłużej.

Ja na to, że nie wszyscy mężczyźni mają krótką pamięć, a jeśli się kogoś naprawdę kocha, to się go nie zapomina. I że mówi nie jak dziewczyna ale jak dorosła, zgorzkniała i wielce doświadczona kobieta. Zaśmiała się i pogłaskała mnie po policzku:

- Pewnie przypomniał mi się dialog z jakiegoś filmu. Może z „Casablanki”? Niedawno oglądałam i bardzo mi się podobał.

Stała o krok, patrzyła na mnie, a ja wcale się nie wstydziłem. I byłem jej wdzięczny, że to wzajemne odkrycie intymności stało się tak normalnie, bez domysłów, podglądania i stosowania najdziwniejszych forteli. Wdzięczny tym bardziej, że jej naturalność zdjęła ze mnie obowiązek inicjatywy, który tradycyjnie spoczywał na chłopaku. Byłem już na tyle dojrzały, że wiedziałem na czym polega miłość fizyczna, ale patrząc na Mirę wcale o tym nie myślałem. Było to tym dziwniejsze, że od jakiegoś czasu natura dawała o sobie znać zmuszając do masturbacji, a plamy na pościeli zdradzały intensywność erotycznych snów. A teraz leżąc obok nagiej dziewczyny, mając przed sobą wszystko, o czym jeszcze wczoraj marzyłem, nie było we mnie samczej namiętności. Z każdą minutą przyzwyczajalem się do jej ciała, łagodniał wewnętrzny wiatr, a gorączkę zastąpiła czułość. Wyciągnąłem rękę, pogłaskałem ją po włosach i piersiach, a ona wcale nie była zażenowana:

- Nikomu innemu tak bym się nie pokazała. Ale poprzestańmy na tym, bo możemy wszystko zepsuć. Mamy jeszcze dużo czasu...

Pewnie trudno w to uwierzyć, ale byłem jej wdzięczny także za to, że przestałem się bać, że TO się stanie. Bardzo chciałem przeżyć męskie wtajemniczenie, ale jeszcze bardziej

się go bałem. Miłość fizyczna wydawała mi się wtedy jakimś skomplikowanym misterium, trudnym egzaminem do którego nie byłem przygotowany. Trudno bowiem za wystarczającą wiedzę uznać lekturę nielicznych książek typu *O chłopakach dla chłopców* lub *Co powinna wiedzieć każda dziewczyna*, gdzie o najważniejszych sprawach mówiono oględnie i unikając dosłowności. Więc kto miał wprowadzić mnie w arkana seksu, skoro temat powszechnie uznawano za nieprzyzwoity i grzeszny? I to tak bardzo, że brat nie mógł zobaczyć nagiej siostry, a ona brata. Pamiętam żale Gutka, że jak jego siostra kąpie się w balii, jego wyganiają do zimnej sieni, a jak kąpie się on, Urszula siedzi z kocem na głowie. Wierzyć się nie chce, ale tę jedną z najważniejszych emocji człowieka pomijało się milczeniem uzasadniając to boskimi przykazaniami i przestrogami przed piekłem. Bardziej przekonujące były jednak przykłady dziewcząt, które niezdrowa namiętność narażiła na wczesne ciążę i chłopaków, którzy zbyt wcześnie poczuli się mężczyznami:

- Popatrz na Maryskę, co przez to gżenie się z chłopami w szesnastym roku życia dorobiła się bachora. Kto ją teraz weźmie? Zostanie starą panną z dzieckiem! Jakby baby nie były głupie, to by im chłopcy nie pchały.

Ciotka Maryna miała się za stróża moralności i miejskie sumienie dopóty, dopóki jej siedemnastoletnia wnuczka nie zaszła w ciążę i uciekła z żonatym chłopem. Wtedy ciotka zmieniała front za wszystko winiąc chłopów wymuszających na kobietach seksualne powinności. Było w tym sporo prawdy bo słysząc prostackie żarty oraz ordynarne dialogi dorosłych mężczyzn można było dojść do wniosku, że kobieta służy przede wszystkim jako narzędzie do rozładowania męskiej chuci. Najdosadniej ujmował to cieśla Mikołaj, cytując jakąś starą przysłowia: *Jak chłopą przydusi, baba dać mu musi, a jak mu dać nie chce, pasem ją połechce*. Wtórował mu kaprawa Ciepiela, dodając inną szczyptę zaszłej „mądrości”:

- *Babie Bóg doł przody dlo chłopski wygody*. Od początku świata tak było, jest i będzie. Baba jest od pilnowania domu, dzieciek i dbania o chłopą. Jak baba posłuszna, to i chłop dobry.

Przekonanie to podpierał Pismem Świętym, argumentując, że skoro Pan Bóg stworzył Ewę z Adamowego żebra, tedy ona jest jego częścią i może nią rozporządzać wedle własnej woli. Świadomość tę propagował także proboszcz pouczając kobiety, że powinny być mężom posłuszne, bo tak wynika z kanonów

religii, a każde nieposłuszeństwo jest grzechem. Bielecka opowiadała mamie, że kiedyś po pobiciu przez męża poszła do księdza z prośbą aby z nim porozmawiał, a ksiądz jej na to, że każdy niesie swój krzyż i trzeba się z tym pogodzić, bo taka jest wola boska. Bielecka mu na to, że nie wierzy aby dobry Bóg pozwalał bić kobiety, ale przestała wierzyć księdzu. A zaraz potem wypisała się z kółka różańcowego, a na wielkanocną spowiedź jeździła do sąsiedniej parafii. Wróciła dopiero kiedy duchowna władza zwierzchnia dała nowego proboszcza.

Odporność na takie „mądrości” wyniosłem z domu, w którym podobne poglądy pozostawały za progiem, a nawet za podwórkowym ogrodzeniem. Rodzice szanowali się i nie było mowy o jakiegokolwiek dominacji. Płytkie sprzeczki nigdy nie przeradzały się w awantury, a ich efektem było co najwyżej godzinne milczenie. W groźniejszych momentach ojciec sięgał po czapkę i wychodził z domu, a mama wyciągała maszynę do szycia. A godzinę potem rozmawiali jakby nic się nie stało. Większości chłopów wydawało się to dziwne bo nijak nie mogli zrozumieć, że ojciec we wszystkim radzi się matki, a często przyznaje jej rację:

- Ona powinna chodzić w portkach, a ty w babskich ciuchach. Po ślubie pewno ona wlaźła na ciebie, a nie ty na nią bo jakby czekała to by do dziś była dziewicą. Chłop z ciebie jak z koziej dupy trąba!

Taką opinię sąsiad Kozioł wygłaszał przy każdej okazji, ale na ojca to nie działało. Odpowiadając posiłkował się powiedzeniem swojego ojca: *jak chłop z babą żyją, razem życie szyją*:

- Chłop sam jest jak taczka. Ja tam wolę bryczkę z dwoma kołami bo mniej wywrotna i trzeba mniej siły. Co dwie głowy to nie jedna.

Dziwne było, że obiekcje wobec naszej domowej demokracji zgłaszała także spora część kobiet współczując matce, że musi zajmować się tym, do czego nie jest stworzona. Stara Tomicka uzasadniała to tak:

- Chłop i baba to dwie połówki i każda ma swoje pole do obrobienia. Baba ma na głowie dom, kucharzenie, sprzątanie i dzieci, a chłop resztę. Najlepiej jak ciężar rozłożony jest równo, bo jak na jedną stronę przeważy, to wszystko poleci jak źle ułożone zboże na drabiniastym wozie – gibnie na wyboju, poleci i trzeba układać na nowo. A w rodzinie nie zawsze się udaje.

Ale u nas się udawało. Może dlatego, że rodzice unikali wybojów.

Wydaje się, że moje obawy związane z inicjacją seksualną brały się z opowieści starszych kolegów, którzy moment ten przedstawiali jako horror. Wynikało z nich, że kobiecie krocze to jakaś trudna do wypełnienia, smocza jama lub pełna materiału wybuchowego jaskinia, której rozminowanie wymaga wysiłku i nie lada umiejętności. I że będąc sam na sam z kobietą trzeba być mocnym, zdecydowanym, a czasem nawet brutalnym:

- Najpierw nie chciała, ale nie miała nic do gadania. A potem tak jej dałem do wiwatu, że trzy dni tyłem chodziła. A psitę miała jak otwarte stodołne wrota. Żeby taką zatkać to trza mieć fujarę jak dyszel!

Opowieść tę Kazik powtarzał wielokrotnie chełpiąc się, że dał radę wdowie po listonoszu uchodzącej w mieście za erotycznie nienasyconą. Plotkowano, że przyjeżdżali do niej napaleńcy z całego powiatu, a że powiat był duży, musiało ich być wielu. Chociaż nie wiadomo czy to prawda, bo z ciekawości dla tej jej chutliwości wiele wieczorów spędziliśmy pod jej domem, ale żadnego tłoku nie było. Przychodził tylko Mietek Duł, którego żona od kilku lat przebywała w szpitalu psychiatrycznym, więc chłopską potrzebę musiał zaspoka-

jać poza domem. Poza rzekomą rozwiązłością wdowie trudno było coś zarzucić bo nie dość, że troskliwie opiekowała się córką, obrabiała też chorowitych teściów. Uchodzący za moralną wyrocznie cukiernik Ścibisz nie pozwolił powiedzieć o niej złego słowa:

- Jaka tam z niej latawica? A że chce się jej chłopca, nie ma się czemu dziwić bo kiedy miała się nasycić? Tadek umarł trzy lata po ślubie, a jak żył to i tak wolał wódkę niż babę. A przecie ona nie ma jeszcze trzydziestki i też chciałaby życia użyć. Daj Boże żeby inne baby miały tylko takie wady!

A na opowieści Kazika o jego męskich przewagach patrzyliśmy z przymrożeniem oka, bo gdyby mu wierzyć, spał z co drugą kobietą w mieście. No i dograł się, bo kiedy pochwalił się zdobyciem Kozłowej Natalii, ta pod kościołem dała mu po pysku, a mąż poprawił tak skutecznie, że od tej pory Kazik chodzi bez przednich zębów.

Trudno więc dziwić się naszej nieświadomości i strachowi przed tym, co nieznanne. Bo niby wiedziało się co do czego, ale poza tym było się kompletnym laikiem.

Nie wiem jak to się stało, że nie uległem wpływowi środowiska. Nie można mnie było namówić na wino, gardziłem papierosami, a

do dziewcząt odnosiłem się z sympatią i nie mówiłem o nich nic złego. Dla większości rówieśników byłem dziwakiem i kimś, kto się nie umie bawić, nie mówiąc o męskodamskich podbojach. W efekcie zostałem w towarzystwie trzech podobnych, którzy zamiast popijać z gwinta owocowe wino, a potem zaczepiać dziewczyny, woleli rozmawiać o przeczytanych książkach, obejrzanych filmach i zespołach młodzieżowych. No i oczywiście o dziewczynach, i seksie, ale w mniej chamski sposób. Dorośli uznawali mnie za mądrego i grzecznego młodziana, po którym nie można spodziewać się niczego złego.

Kiedy zbieraliśmy się do powrotu Mirka poprosiła abym nikomu nie mówił, że widziałem ją naga:

- Chłopcy lubią się chwalić...

Zapewniłem, że może być spokojna, bo przecież ją kocham i nie naraziłbym ją na przykrości. Pocałowała mnie przylegając tak mocno, że jej piersi wbijały się we mnie, a nawet poczułem pulsowanie łona. Dobrze, że trwało to krótko bo zacząłem się podniecać. Pamiętam, że tej nocy miałem szczególnie erotyczny sen, ale ponieważ nie kochałem się z Mirką, obudziłem się z wyrzutem sumienia. Chcąc go wywabić, siadłem do pisania listu. Zresztą nie pierwszy raz, bo chociaż widywa-

liśmy się niemal codziennie, pisaliśmy do siebie długie epistoły. Nie tylko o naszym uczuciu, ale o tym co robimy, o planach na najbliższe dni, o czytanej książce, aktualnie granym filmie i innych codziennych sprawach. Napisałem takich listów kilkadziesiąt i czasem dochodzę do wniosku, że właśnie wtedy posmakowałem przyjemności pisania. Jej listy trzymam do dziś i chcąc przypomnieć sobie tamten fragment życiorysu, często do nich zaglądam. I jakoś nie zazdrozczę młodym komórkowych telefonów, komputerów i najnowszych narzędzi komunikacji, bo nic nie zastąpi godziny nad kartką papieru. Na marginesie powiem, że dzięki jednemu z listów zyskałem sympatię jej matki, która przeczytawszy pozostawiony na stole elaborat, oficjalnie zaakceptowała nasze chodzenie:

- Myślałam, że wam w głowie same głupoty, a on do ciebie tak ładnie i mądrze. Widać nie wszyscy mają we łbie pakuły.

Odtąd mogłem odwiedzać Mirę w domu, czemu sprzyjał fakt, iż jakoś w tym czasie jej rodzice kupili telewizor. Miałem więc dodatkowe alibi. Bywałem u nich kilka razy w tygodniu, zazwyczaj wychodząc późnym wieczorem. Widocznie rodzice mieli do nas zaufanie, skoro wcześniej szli spać pozostawiając nas samych, co wzmagało naszą czułą ak-

tywność i pobudzało apetyt. Tym bardziej, że nasze apetyty rosły. Nie ukrywam, że coraz częściej pragnąłem Miry erotycznie i czasem zapominałem się, ale we właściwym momencie potrafiłem się ostudzić. Nie było to łatwe, bo jej opór nie był już tak stanowczy i gdybym był bardziej zdecydowany pewnie zgodziłaby się. Bez skrupułów odkrywaliśmy naszą cielesność, a pieszczoty były coraz śmielsze. Głównym powodem mojego niezdecydowania była obawa przed konsekwencjami. Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w prezerwatywy, co w tamtych czasach wcale nie było proste bo można je było kupić jedynie w aptece, a to wymagało nie lada odwagi. Problem w tym, iż panie magister znały nas od dziecka, więc o anonimowości nie mogło być mowy. Co innego kupować aspirynę lub syrop na kaszel, a co innego prezerwatywę. Wstydzilem się tym bardziej, że pani magister Bożenka nie tylko przyjaźniła się z moją mamą, ale była też moją chrzestną. Czy kogoś kto zawsze pamiętając o moich urodzinach przynosił mi słodycze i książki mogłem prosić o sprzedaż prezerwatyw? Co prawda mogłem poczekać kiedy za ladą stanie pani Agnieszka, ale bałem się, że powie chrzestnej. Tym bardziej, że w naszej aptece podobny zakup nie zdarzał się często. Kondomy kupiłem w aptece w sąsiednim mieście, ale chociaż tu nikt mnie nie znał, podchodząc do lady dwa

razy cofałem się czekając aż wyjdą wszyscy klienci. Kupiłem trzy, z których jedną zużyłem jeszcze tego samego wieczora ucząc się ją nakładać. Wypróbowałem także jej trwałość bo wydawała mi się krucha jak odpustowy balonik. O zakupie powiedziałem Mirze, która mnie pochwaliła:

- Dobrze, że o tym pomyślałeś. Nie chciałabym abyśmy mieli kłopoty.

Pocałowała mnie i przytuliła tak namiętnie, że chętnie sięgnąłbym po prezerwatywę, ale znowu przestraszyłem się. Z opowieści i książek wiedziałem o związanych z rozdziewiczzeniem dolegliwościach i obawiałem się, że ból i krwawienie spowodują, że Mira będzie miała żal, a może nawet przestanie mnie kochać. Wątpliwościami podzieliłem się z nią, ale ona raczej się nie przyjęła:

- Na pewno sobie poradzimy. Kochamy się i nawet jak pierwszy raz coś będzie nie tak, następnym razem będzie dobrze. Przed nami wakacje i będziemy mieli dużo czasu.

Tymczasem wakacje okazały się fatalne.

Stało się tak za sprawą Konrada i wakacji spędzanych w domu dziadków. Mieszkał w Warszawie, gdzie ojciec był szychą w którymś z ministerstw, a matka urzędniczką w jakimś

ważnym muzeum. Jako dziecko Konrad często u dziadków bywał i bawił się razem z nami, ale potem gościł coraz rzadziej, aż wreszcie przestał. Ostatni raz odwiedził nas jakieś sześć lat temu, ale uprzedziła nas do niego jego wielkowiejska przemądrzałość. Traktował nas jak zaściankowych prostaczków, a nasze miasto jak prowincjonalny grajdołek, w którym prawdziwe życie zobaczyć można tylko w telewizorze. W swoich monologach wywyższał się udowadniając nam swoją przewagę. Jego szkoła była lepsza od naszej, koledzy mądrzejsi, dziewczyny ładniejsze, a nasze miasto jest mniejsze od dzielnicy, w której stoi jego blok. I chociaż był zaledwie o rok starszy, pozował na dorosłego i odnosił się do mnie jak do gówniarza. Nie miałem więc powodu do okazywania mu sympatii, a raczej wprost przeciwnie. Kiedy dowiedziałem się, że przyjeżdża, przyjąłem to niechętnie, nie przeczuwając, iż jego wizyta tak wpłynie na moje życie.

Zmienił się tak bardzo, że podczas spotkania na ulicy nie poznałem go. Był ode mnie o głowę wyższy, szczupły, z długimi do ramion blond włosami, ubrany jak model dżinsowej firmy Lee - idealnie dopasowane markowe spodnie, taka sama kurtka, na szyi kolorowa bandana, na nogach lekkie mokasyny, a na ramieniu skórzana torba z frędzlami. Wyglą-

dał jakby przyjechał prosto ze Stanów albo wyszedł ze zdjęcia zachodniego, modowego żurnala. Zupełnie na kogoś z innego świata, kto przypadkiem zabłądził w nasze strony. Nic dziwnego, że wszyscy się za nim oglądali, a niektórzy zawracali aby jeszcze raz popatrzyć. Widocznie nie zmieniłem się skoro mnie poznał:

- Dobrze spotkać starych znajomych. Będę tu cały miesiąc więc będzie sporo czasu na odnowienie koleżeństwa. Przyjdź dziś do mnie o siedemnastej, będzie kilka osób, pogadamy, posłuchamy płyt. Dla zachęty powiem, że przywiozłem kilka butelek dobrego angielskiego piwa. Tylko nie nawal.

Po przyjeździe zastałem Mirę w towarzystwie kilku koleżanek i kolegów, którzy patrząc w Konrada jak w obraz słuchali relacji z jego podróży po Europie, jaką odbył w ramach międzyszkolnej wymiany. Był uczniem jednego z renomowanych warszawskich liceów, które mając kontakty ze szkołami w różnych krajach, umożliwiało uczniom wojaże. Tym bardziej potomstwu tych ze świecznika. Pokazywał swoje zdjęcia z różnych atrakcyjnych zakątków Europy. Na tle wysokich Alp, Wieży Eiffla, Watykanu, Bramy Brandenburskiej, a nawet wyświetlał slajdy, co dla nas było wtedy zupełną nowością. Z racji mojej fascyna-

cji starożytnością najbardziej zazdrościłem mu zdjęć na tle Akropolu i pałacu Minosa na Krecie. Dla mnie zabytki te były ucieleśnienie mitów, starogreckich cudów i marzeniem o ich zobaczeniu, a on opowiadał o nich tak, jakby to było coś zwyczajnego. Dziewczynom najbardziej podobało się zdjęcie z Lazurowego Wybrzeża na którym zgrabny i opalony z samych slipkach, stoi po kolana w wodzie, a w tle jacht i stado mew. Jakby chcąc pomóc nam w strawieniu egzotycznych opowieści, częstował pomarańczami, figami, bananami i oryginalnym piwem guinnessa, a na markowym gramofonie odtwarzał płyty zespołów Led Zeppelin, Rolling Stones i innych ówczesnie modnych zespołów.

Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie jego korzystna zmiana. Był przyjazny, kontaktowy, nie usiłował nas zdominować, a może raczej wkupić się w nasze towarzystwo. Byłem na tyle wyrozumiały, że jego oracji nie odbierałem jako gwiazdorstwa i chęci zaimponowania, a raczej wprowadzenia nas w jego świat i podzielenia się z nami nieznanymi nam wrażeniami. Pewnie nie było jego zamiarem zasianie w nas kompleksów, a tym bardziej uświadomienie kulturowego dystansu, ale trudno było się przed tym ustrzec. Słuchając go i oglądając fotograficzną dokumentację wydawało się, że mimo wszelkich

zmian, nasze miasto stoi sobie gdzieś w zakurzonej kącie świata. Co prawda jest w nim elektryczność, wodociągi i kilka innych cywilizacyjnych udogodnień, ale bliżej nam do afrykańskich tam-tamów niż do cywilizacyjnych wyżyn. Że nasz trzynastowieczny kościół i renesansowy ratusz, przy wspaniałościach Rzymu, Paryża lub tamtych metropolii jawią się jak zabytkowe liliputy. Tak jak ja i moi koledzy wobec Konrada, jego światowego szyku i wyobrażenia przestrzeni. Na szczęście zawłóści te potrafiłem sobie skutecznie wytłumaczyć w czym pomógł mi afekt do tego, co miałem w zasięgu wzroku. Bo chociaż byłem ciekawy świata, to przecież nie na tyle aby zastąpić nim to to, co znałem i kochałem. A więc to położone w rzecznej kotlinie miasto, pasmo niskich gór na zachodzie, zieleń lasów i rozległość okolicznych pól. Stojąc na wzniesieniu godzinami kontemlowałem ten pejzaż i nigdy nie czułem znudzenia. A odkąd ten związek pomnożył się o miłość do Miry, nie mogłem wyobrazić sobie, że gdzieś mógłbym być szczęśliwszy.

Wieczór skończył się fatalnie. Wychodząc miałem nadzieję, że odprowadzę Mirę do domu, a drogę osłodziemy sobie rozmową, pocałunkami i pieszczotami. Plany pokrzyżował Konrad, który zdecydował o odprowadzeniu gości. Wracaliśmy gromadą i o spacerze sam

na sam z Mirą mogłem zapomnieć. W dodatku Mira wpadła Konradowi w oko, bo całą drogę szedł obok niej, najwięcej z nią rozmawiał, a na koniec zaproponował aby jutro poszła z nim na kawę. Co prawda odmówiła, ale nie wypadło to przekonująco. Kiedy żegnaliśmy się, nie patrząc na mnie sztywno podała mi rękę i odeszła. Zabolało. Przed snem starałem się kpić z mojej zazdrości, ale nie było mi do śmiechu. Nie ulegało wątpliwości, że Mira zauważyła zainteresowanie Konrada i z pewnością jej to pochlebiło. Niemal cały wieczór z nim rozmawiała, z widoczną przyjemnością łykała komplementy, potem z nim tańczyła, a do mnie odnosiła się tak jakby mnie nie znała i że denerwuje ją nawet moje patrzenie w jej stronę. A potem jeszcze to beznamiętne pożegnanie. Wkurzało mnie, że porównując się z Konradem czułem się przegranym.

Kiedy rano spotkaliśmy się w piekarni, przez chwilę wydawało mi się, że moje nocne niepokoje nie miały sensu. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zaczęła mówić o Konradzie bo chociaż starała się mówić beznamiętnie, w jej słowach wyraźnie podziw i zafascynowanie. Imponował jej wszystkim – znajomością świata, swadą w rozmowie, luzem, sposobem ubierania się i znajomością muzyki:

- A czy wiesz, że on trenuje szermierkę? Dwa razy w tygodniu ma treningi i kilka razy brał udział w zawodach. Pewnie to śmieszne, ale kiedy mi to mówił wyobraziłam go sobie w roli Zorro. Poza tym uczy się języka angielskiego i gra na perkusji. Po południu mamy się u niego spotkać. Przyjdiesz?

I ani słowa o mnie, o nas i naszym uczuciu. A pytanie o to czy przyjdę wtrąciła jakby mimochodem.

Poszedłem nie dla przyjemności, ale dla niej. Ale lepiej gdybym nie poszedł, bo zaoszczędziłbym sobie przykrości i rozczarowania. Było tak jak dzień wcześniej i tak jak wtedy czułem się przegrany. Konrad całkiem jawnie jej nadskakiwał a Mira nie kryła, że sprawia jej to przyjemność. Było mi głupio kiedy znając nasze układy towarzystwo patrzyło na mnie ze współczuciem, a może raczej politowaniem. W końcu nie wytrzymałem i pod jakimś pretekstem pożegnałem się. Nie wróciłem do domu bo chcąc dowiedzieć się dalszego ciągu, ukryty w kępie bżów czekałem na koniec imprezy, a że odprowadzanie trwało długo, miałem czas na przemieszczenie się pod dom Miry. W świetle ulicznych latarni widziałem jak wracając trzymają się za ręce, a kiedy stanęli przed furtką on objął ją za szyję i zaczęli się całować. Miałem ochotę podejść i

dać mu w mordę, ale stałem jak wrośnięty w ziemię i nie byłem pewien czy dam radę zrobić choćby krok. Ale dałem. Kiedy odszedł powlokłem się do domu i całą noc użalałem nad sobą. To była dolegliwa zazdrość. Nijak nie mogłem zrozumieć jak to jest, że ktoś jeszcze dwa dni temu deklarujący uczucie tak nagle przenosi je na kogoś innego. Na dobrą sprawę nieznanego, bo czy kilka godzin spędzonych w czyimś towarzystwie może skutkować takim amokiem? A najgorsze, że nie widziałem możliwości odwrócenia biegu wydarzeń. Intuicja podpowiadała mi, że tej nagłej fascynacji Miry nie jestem w stanie zatrzymać. Bo niby co mógłbym zrobić? Nie dorównam mu błyskotliwością, towarzyskim obyciem, nie mówiąc już o zewnętrznej atrakcyjności. Jego atutem było przede wszystkim to, że był kimś nowym. To działało nie tylko na Mirę, ale zdecydowaną większość dziewcząt, dla których stał się idolem. Ja i koledzy byliśmy jak znoszona, nieatrakcyjna odzież, a on zachowywał się jak model na wybiegu. Obiektywnie biorąc nie miałem szans, który to wniosek kładł mnie na łopatki.

Aby zanedo nie użalać się powiem tylko, że to był klasyczny walkower. Doszedłem do wniosku, że stoję na straconej pozycji i nie ma sensu wystawiać się na pośmiewisko. Tym bardziej, że Mirę wzięło tak bardzo, iż

przestała dbać o pozory i pokazywała się z nim publicznie. Widziałem ich siedzących pod kolorowym kawiarnianym parasolem, chodzących do kina i w biały dzień trzymających się za szyję. Kiedy spotykałem ją ostentacyjnie odwracała głowę, a kiedy wprost zapytałem jej o co się dąsa, odrzekła, że się nie gniewa, ale już nie ma mi nic do powiedzenia. Przestałem bywać u Konrada, a ze wstyd rzadko wychodziłem z domu. Było mi przykro, ale jakoś nauczyłem się z tym żyć.

Wzięło mnie dopiero kiedy zobaczyłem ich opalających się nad rzeką i wyobraziłem sobie jak ona się przy nim rozbiera i patrząc na jego wysoką, zgrabną sylwetkę myśli o mnie z niesmakiem, a może nawet się śmieje? Byłem niemal pewien, że jemu pozwala na znacznie więcej, a może nawet już się z nią pieprzył. Na pewno miał już dziewczyny, wie jak się za nie zabierać i nie ma głupich skrupułów. Na pewno dostał coś, na co ja zdecydowany byłem czekać nawet do końca świata. I pewnie tak było bo kiedy spotkałem Mirę, popatrzyła na mnie z politowaniem:

- Nie złość się. Ty dopiero jesteś kandydatem na mężczyznę, a on już nim jest. Ale na pewno dorośniesz.

Idące z nią koleżanki zaczęły się ze mnie śmiać. Czułem się podle, wychodziłem z do-

mu dopiero po zapadnięciu zmroku i snując się najciemniejszymi ulicami lub siedząc w kępie nadrzecznych wiklin przeżywałem swoją klęskę. Najbardziej gorzkie wydawało mi się podłe potraktowanie mojej dobrej woli i emocjonalnej uczciwości. Kochałem ją najlepiej jak potrafiłem, byłem delikatny, cierpliwy i nie usiłowałem wykorzystać sytuacji. Może to był błąd? Może rację miał Kazik radząc, że jak jest okazja to ją trzeba wykorzystywać:

- Żeby nie wyjść na kurwę każda udaje, że nie chce, ale jak ją przyciśniesz, idzie jak w dym. Baba ma cipę jak kowadło i trzeba kuć póki gorąca.

Wtedy takie gadanie uznawałem za prostactwo, ale nowa sytuacja wyłączyła naiwny idealizm. Poza tym dlaczego miałem ją oszczędzać?

Apogeum zazdrości przeżyłem kilka dni później, kiedy szukając wspomnień wybrałem się nad tamto leśne jezioro, nad którym zastałem ich oboje. Nago opalali się, a potem podszedł do niej, uklęknął, a kiedy założyła mu prezerwatywę zagarnął ją pod siebie i zaczęli się kołysać. Uciekłem w las i popłakałem się. Ale wróciłem. Leżeli obok siebie, a on trzymał rękę między jej nogami.

Po powrocie do domu nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Użalałem się nad sobą, kpiłem z własnej naiwności, a nawet napisałem gorzki list, ale uznając, że narażam się na śmieszność, zniszczyłem go. Potem poczułem pragnienie zemsty, ale nie wiedziałem jak mógłbym im zaszkodzić. Co prawda mógłbym zacząć się i uderzyć go kamieniem albo napisać coś obraźliwego na ścianie jej domu ale z pewnością nie przysporzyło by mi to satysfakcji i niczego nie zmieniło. Najbardziej bolała świadomość, że wieczorem znowu pójdę na Krętą i zobaczę jak się całują i obmacują. Nie mogąc temu zapobiec postanowiłem pozbawić się tego bolesnego, upokarzającego widoku. Poszedłem więc nad rzekę, uzbierałem torbę okrągłych kamieni i wieczorem rozbiłem wszystkie siedem latarń.

Kiedy po połowie wieku z okładem idę ulicą Krętą przy której ustawiono rząd misternych, stylizowanych na gazowe latarń, wyrzuty sumienia łagodzą fakt, iż wtedy były to zwyczajne, tanie żarówki z blaszanymi kloszami.

Chociaż jestem pewien, że gdyby tamte były nawet kryształowe, na pewno nie byłoby mi ich żal.

Jan Adam Borzęcki

